

kalejdoskop

06/2025 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)



Łódź Design Festival
2025 – otwarcie
wystawy „The Human
Garden” (malarstwo
Katarzyny Moczulskiej
w kontekście projektów
sztuki użytkowej)
w Galerii Bałuckiej,
25 IV 2025

Fot. Marta Strzelczyk



Ewa Partum „Change/ Zmiana”, 1974–2023, fotografia, z kolekcji Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi – wystawa w Galerii Re:Medium w ramach Fotofestiwalu, otwarcie 13 VI

Na okładce: Claudia Fuggetti „Metamorphosis. The Jungle”
–Open Program Międzynarodowego Festiwalu Fotografii
w Łodzi, Art_Inkubator, 12–22 VI

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Tałaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva° Studio

Skład

Aleksandra Gruszczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?
Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl należy przesłać
swoje dane do wysyłki wraz z informacją,
od którego numeru ma się zacząć prenumerata.

Pamiętajmy!

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Wyobraźcie sobie, że jedna trzecia mieszkańców waszego miasta nagle zniknęła. Zostały po nich opuszczone domy, mieszkania, dobytek, firmy, sklepy. Ich właściciele, lokatorów zamordowano tylko dlatego, że byli Żydami. W czasie II wojny światowej zostali uznani przez Niemców za podludzi i unicestwieni. Jak wobec tragedii Żydów zachowała się reszta polskiego społeczeństwa? Różnie. Jedni narażali życie, by Żydów ratować. Inni ulegli odczłowieczającej narracji, traktując ich jak robactwo, które trzeba wytępić. Jeszcze inni próbowali wzbogacić się ich kosztem, a reszta pozostała obojętna. I nie proporcje są tu najważniejsze, ale zbliżenie się do prawdy – ustalenie faktów. Wyjaśnienie, dlaczego ukrywający Żydów Polacy najbardziej obawiali się swoich polskich sąsiadów. Przyznanie, że nie tylko Niemcy zabijali Żydów. Musimy wiedzieć, jak było. To da nam szansę zmierzyć się z nierzadko bolesną i niewygodną przeszłością, przepracować wyparte traumy. Bez tego, jak pisze Andrzej Leder w „Prześnionej rewolucji”, nie dojrzejemy jako społeczeństwo. Dlatego tak ważne jest przywracanie pamięci o tych strasznych czasach – nigdy dość mówienia, przypominania. Tym bardziej, że społeczna świadomość tych kwestii jest wciąż niewielka i obciążona stereotypami. Na przykład mało wiemy o Archiwum Ringelbluma, choć zostało odnalezione już w 1946 roku i jest dostępne w internecie. Nauczyciel angielskiego w Tuszynie próbuje wydobyć z zapomnienia jego żydowskich mieszkańców. Nie ma jednak wsparcia władz miasta, choć w gabinecie burmistrza wisi przedwojenne zdjęcie tuszyńskich radnych – świadectwo wspólnego dziedzictwa. W kraju, w którym według spisu powszechnego z 2021 roku wyznanie mojżeszowe deklarowało 17 tys. osób, dwaj kandydaci na prezydenta oficjalnie zgłaszający swą wrogość wobec Żydów w ostatnich wyborach zyskali łącznie ponad 21 procent poparcia.

Spis treści



42

- 16 **Pisarz jest nagi.**
Łukasz Barys
- 17 **Może tylko po to.**
Andrzej Poniedziałski

Temat numeru

- 20 **Pochowana pamięć.**
Michalina Majewska
- 24 **Sfera mroku.**
Aleksandra Talaga-Nowacka
- 28 **Archiwum zagłady.**
Bogdan Sobieszek
- 30 **Dama pik.**
Rozmowa z Olgą Maroszek
- 34 **Teatr młodych, teatr jutra.**
Maria Sławińska
- 38 **Ostatni liść.**
Łukasz Maciejewski
- 40 **Kino w stylu vintage.**
Rozmowa z Olgą Chajdas
- 42 **Powiernice z ceramiki.**
Bogumił Makowski
- 47 **Galeria Kalejdoskopu**
Julia Grygorczyk
- 54 **Komiksy godne uwagi.**
Piotr Kasiński

Fot. Piotr Zdrzyński

30



Fot. Joanna Miklaszewska

- 56 Jak działa muzeum?
Maciej Cholewiński
- 58 Nowe drogi.
Rozmowa z Martą Zdanowską
- 61 Ja, Her Armeńczyk.
Mieczysław Kuźmicki
- 62 Zbieractwo.
Dariusz Bilski
- 64 Poetycki Dzień Dziecka.
Piotr Grobliński
- 66 Miejsce na puszkę.
Maciej Robert

67-78 Dodatek „Łódzkie inspiruje”
– Łowicz

79 Kalendarium

24



Fot. ATN

Pochowana pamięć

Michalina Majewska

Gdzie ci wielcy Żydzi? Warszawa, Kraków. Ale nie za moim płotem! – mówi Robert Kobylarczyk, pytany o to, czy kiedykolwiek wcześniej interesował się historią i kulturą żydowską. Miał dla niej podziw, ale nigdy nie kojarzył jej z rodzinnym Tuszynem. Tymczasem to właśnie stąd wywodził się choćby Jankiel Adler, słynny malarz, grafik i poeta.

Żydowska społeczność w przedwojennym Tuszynie rozkwitała. Była tu szkoła, synagoga, mykwa, rynek, był handel. Chciałoby się napisać, że pozostała jedynie pamięć. Ale i tego przez długi czas brakowało. Próby jej przywrócenia podjął się nauczyciel języka angielskiego w Szkole Podstawowej nr 1 w Tuszynie.

Wszystko zaczęło się w 2018 r., kiedy Robert Kobylarczyk zaprosił do szkoły Jonathana Zisooka, amerykańskiego Żyda i naukowca, by przybliżył uczniom kulturę amerykańską i żydowską. Wizyta stała się impulsem do odkrycia fragmentu historii, który przez lata pozostawał wyparty. To Zisook uświadomił panu Robertowi, że niegdyś w Tuszynie toczyło się także żydowskie życie, a pośród wielu zapomnianych pozostałości po nim jest cmentarz. Ale kiedy pan Robert po raz pierwszy stanął na terenie dawnego kirkutu, zobaczył jedynie gęste zarośla. Nie było śladu po macewach, czyli żydowskich nagrobkach. Przekonany, że dawni mieszkańcy zasługują na pamięć, postanowił działać. Jak się okazało, jego praca musiała wykroczyć



Ludność żydowska
w Tuszynie w 1939 roku

poza upamiętnienie unicestwionej kultury. Według obliczeń opartych na archiwalnych dokumentach od początkowych dekad XIX w. w Tuszynie mogło się odbyć nawet 2600 pochówków. Gdzie podziały się więc ostatnie namacalne świadectwa życia tamtej społeczności?

Odpowiedź była bolesna i skomplikowana. Badanie historii cmentarza stało się nie tylko wędrówką w przeszłość, ale także trudnym wyzwaniem w teraźniejszości. Bo aby uporządkować historię, często trzeba zaburzyć współczesny porządek. Pan Robert wiedział – podobnie jak wielu mieszkańców Tuszyna – że na ulicy Poprzecznej stał mur zbudowany z macew. Nie był to jedyny przypadek w Polsce, gdy żydowskie nagrobki wykorzystywano jako budulec. Przez dekady nie można było nic z tym zrobić. Aż w końcu, gdy teren

przeszedł w prywatne ręce, mur został zniszczony. Macewy, a wraz z nimi nazwiska i ostatnie materialne upamiętnienie życia setek dawnych mieszkańców Tuszyna, przepadły na zawsze. Szczęśliwie w różnych okolicznościach ocalało kilka nagrobków. Jeden z urzędników przez lata przechowywał kilka macew w swoim domu, ratując je przed zaginięciem. Zostały przekazane panu Robertowi i obecnie znajdują się na miejscu dawnych pochówków. Wieść o zaangażowaniu nauczyciela rozeszła się po miasteczku i wkrótce odebrał telefon – ktoś odnalazł macewę na... cmentarzu ewangelickim. Udało się zorganizować transport, by ocalić kolejny ślad.

Poszukiwania macew były jednak tylko ułamkiem pracy niezbędnej do uporządkowania cmentarza, który nie przypominał miejsca pamięci. Pan Robert wiedział, że bez wsparcia nie podoła temu wyzwaniu. Jednak jego zaangażowanie udzieliło się uczniom, którzy przyłączyli się do prac porządkowych. Dzieci z czasem zaczęły dostrzegać, że to prawdziwa lekcja historii i empatii. Krok po kroku usuwały zarosła i pozbywały się śmieci, przywracając miejscu szacunek. Prace zbiegły się w czasie z kolejnym przełomowym momentem. W 2019 r. pan Robert nawiązał kontakt z Ellen Mains, potomkinią tuszyńskich Żydów i autorką książki „Budda w getcie”. Gdy Mains usłyszała o inicjatywie nauczyciela, zaangażowała się w nią, a nawet postanowiła przyjechać do Polski. Jej wizyta w szkole była wyjątkowym wydarzeniem – uczniowie mogli usłyszeć opowieść o dawnych mieszkańcach ich miasta. Od teraz przeszłość składała się z konkretnych nazwisk i wydarzeń.

W tym samym 2019 r. rozpoczęto zbierkę na zakup pamiątkowego głazu. Udało się zebrać znaczną sumę, choć nie wystarczającą na pełne pokrycie kosztów. Tutaj jednak znów zadziałała ludzka życzliwość – głaz sprzedano panu Robertowi za kwotę dużo niższą od jego rzeczywistej wartości.



Ellen Mains i Robert Kobylarczyk przy głazie upamiętniającym tuszyńskich Żydów, 2023 rok

Wkrótce na cmentarzu stanął duży, solidny kamień, przypominający o tych, którzy kiedyś spoczęli w tym miejscu.

Kolejny ważny moment nadszedł 12 października 2021 roku, kiedy odbyła się uroczystość upamiętnienia cmentarza w ramach programu „Oznakowanie cmentarzy żydowskich w Rzeczypospolitej Polskiej”, realizowanego przez Narodowy Instytut Dziedzictwa i Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Projekt miał na celu oznaczenie zapomnianych cmentarzy i przywrócenie im należnego miejsca w przestrzeni publicznej. Odsłonięto wtedy tablice pamiątkowe, które umieszczono na wcześniej postawionym głazie. Pierwsza z nich, zaprojektowana pod nadzorem naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha, oficjalnie oznacza miejsce jako cmentarz. Druga, ufundowana przez Mosze Lasmana z Izraela, zawiera nazwiska żydowskich rodzin, które mieszkaly w Tuszynie. Listę rodzin dostarczył Marek Busiakiewicz, lokalny urzędnik i pasjonat historii. Obecnie przy wejściu na teren

Sfera mroku

Getto jako fabryka, fabryka jako ghetto – czasy się zmieniają, warunki funkcjonowania niekoniecznie. Bo nie zmienia się skłonność człowieka do wykorzystywania innych ludzi, by wzbogacić się ich kosztem. W Centralnym Muzeum Włókiennictwa trwa poruszająca wystawa, która poprzez sięgnięcie do dziejów Litzmannstadt-Getto opowiada o systemowym wysysku.

Aleksandra Talaga-Nowacka

Ekspozycja „System mody. Ubrania w strategiach przemocy i taktykach przetrwania w getcie łódzkim” miejscami zaskakuje. Przede wszystkim – wysoką artystyczną jakością projektów opracowywanych w getcie. To m.in. plansze do albumów ilustrujące jego funkcjonowanie: nawiązujące do kolaży przedwojennej awangardy, ale i zadziwiająco nowoczesne, jakby antycypowały estetykę lat 60. A także aranżacja wystawy gettowych wyrobów i użytkowe fotografie robione na potrzeby przemysłu odzieżowego.

Bo łódzkie ghetto było przecież wielką, prężnie działającą fabryką opartą na niewolniczej pracy. Na potrzeby Niemców produkowano tu ubrania, bieliznę, buty i wszelkie modowe akcesoria. Również te wysokiej jakości – o czym świadczy fakt, że zamówienia składały tu Triumph, Felina czy prowadzący sprzedaż wysyłkową Neckermann. (Także dziś wiele innych znanych firm korzysta z niemal darmowej pracy azjatyckich robotników – wystawa jest w pewnym sensie także o tym). Wszystko funkcjonowało bez zarzutu, na getcie dało się dobrze zarobić – wszak jego zarządcą był kupiec z Bremy Hans Biebow, który znał się na biznesie. Jego podwładny, przełożony Starszeństwa Żydów Chaim Mordechaj Rumkowski, w efektywnej pracy widział z kolei nadzieję na przetrwanie. I, do czasu, miał rację – przydatne ghetto łódzkie istniało najdłużej ze wszystkich.



Fotografia archiwalna
z wystawy „System mody”

Cała ta wspomniana sfera estetyki przykrywa okrucieństwo dotyczące jej wytwórców. Gdybyśmy nie znali kontekstu powstania projektów, bylibyśmy przekonani, że to strategia promocji zwyczajnej marki w normalnym świecie. Tak samo normalne wydają się niektóre zdjęcia pokazujące pracę w getcie – te kolorowe, bo kolor pozbawia je dramatyzmu. Historię II wojny światowej znamy przecież głównie ze zdjęć czarno-białych.

Kuratorzy wystawy: Karolina Sulej, Paweł Michna i autorzy jej aranżacji ze studia Koziej Architekci zdecydowali o podzieleniu przestrzeni ekspozycji na działy, z których każdy ma temat zaczerpnięty ze słownika zwrotów opisujących etapy pracy firmy odzieżowej. Zaczynamy zatem od „Konceptu”, dalej są: „Materiał”, „Produkcja”, „Produkt”. Potem pojęcie z innej rzeczywistości: „Opór” – może jako

odpowiednik strajku w zakładzie pracy, dotyczy bowiem właśnie namawiania do strajków i sabotażu, ale także powstawania organizacji antyfaszystowskich oraz oporu wewnętrznego. Ostatni jest „Szmelc”, a „odrzutami” są tu na równi drobne pozostałości po Żydach, znalezione na terenie obozu śmierci Kulmhof w Chełmnie nad Nerem, gdzie trafiła większość mieszkańców Litzmansstadt-Getto, jak i sami więźniowie, ludzie już „zbędni”, bo wyeksploatowani i niepotrzebni. Ostatnie prezentowane artefakty to zdjęcia osób zmarłych z głodu i wycieńczenia. Na jednym z nich martwy mężczyzna wygląda, jakby spał, wtulony w kołdrę we własnym łóżku. Na innym młoda kobieta ma szeroko otwarte oczy i usta, jakby chciała przekonać śmierć, że to jeszcze nie czas...

Istotna jest funkcja światła – cała wystawa jest słabo oświetlona, dotykamy bowiem sfery mroku. Do tego natężenie światła zdaje się maleć w każdym kolejnym dziale, a w ostatnim wszelkie zamieszczone teksty już ledwo da się odczytać.

Dama pik

Dla mnie nie jest istotne, czy śpiewam w wielogłosie jako chórzystka, czy jestem solistką operową, czy śpiewam solowo na estradzie – chcę, aby moi słuchacze przeżyli coś wyjątkowego – mówi Olga Maroszek, śpiewaczka operowa, która wykonuje tytułową partię w nowym spektaklu Teatru Wielkiego w Łodzi „Przygody Pinokia” (premiera 1 czerwca). Jest także wokalistką zespołu Polyphonics, z którym występuje w projekcie „Wodecki Welcome To” oraz podczas jubileuszowej trasy poświęconej Irenie Santor.



Fot. Ewa Ryszkowska

Olga Maroszek

Olaf Jackowski: Podobno w dzieciństwie chciała pani zostać Freddie Mercuryem?

Olga Maroszek: *(śmiech)* To duże uproszczenie! Tak naprawdę wszystko zaczęło się, gdy miałam dziewięć lat i obejrzałam „Yesterday”, polski film opowiadający historię nastolatków zafascynowanych zespołem The Beatles. Wtedy po raz pierwszy świadomie zapragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej o muzyce rockowej, a mój tata sprezentował mi album „Abbey Road” Beatlesów.

W pani domu była obecna muzyka?

Tata grał amatorsko na gitarze. Mieliśmy pianino, na którym grywała mama. Rodzice zauważyli moje uzdolnienia muzyczne, ale nie posłali mnie do szkoły muzycznej czy choćby na lekcje śpiewu – dali mi wolny wybór, co chcę robić w życiu. Po śmierci Freddiego Mercury’ego zainteresowałam się twórczością zespołu Queen. Zakupiłam i przesłuchałam wszystkie ich albumy (wtedy jeszcze na kasetach), a Freddie był dla mnie wzorem artysty kompletnego – o głębokiej wrażliwości, mającego swój styl, tworzącego bardzo ciekawą muzykę, mającego dużo do przekazania. Poczułam, że ja również chcę coś ludziom przekazać, dlatego jako dwunastolatka postanowiłam, że w przyszłości zostanę liderką zespołu rockowego. Wymyśliłam nawet nazwę swojego zespołu, okładki albumów i melodie piosenek, które następnie nagrywałam na kasety. Pasjonowały mnie także fotografia i rysunek, stąd w moich planach przewijał się pomysł liceum plastycznego. A z muzyką klasyczną po raz pierwszy zetknęłam się dopiero w liceum,

kiedy pomyślnie przesłam przesłuchania do chóru i zostałam przyjęta do altów.

Ale droga do świata muzyki nie była wcale prosta i oczywista...

Nie miałam żadnego wykształcenia muzycznego. Po napisaniu matury dostałam się na pedagogikę wieku dziecięcego na Uniwersytecie Łódzkim, choć planowałam studiować zupełnie inne kierunki. W czasie studiów byłam wokalistką dwóch zespołów rockowych, z którymi koncertowałam, nagrywałam i pisałam własne utwory. Będąc na drugim roku trafiłam do Stowarzyszenia Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Łodzi, którego dyrygent, Henryk Karpiński, wieloletni kierownik chóru Teatru Wielkiego w Łodzi, przesłuchał mnie i zasugerował, abym zainteresowała się śpiewem operowym. Mając 22 lata, rozpoczęłam naukę śpiewu operowego pod okiem pani Barbary Urzędowicz, przez rok uczyłam się też w jej klasie śpiewu w Zespole Szkół Muzycznych im. Stanisława Moniuszki w Łodzi. Do Akademii Muzycznej w Łodzi dostałam się pod skrzydła pani profesor Krystyny Rorbach.

Niezwykła artystka! Jaka była osobą?

O ogromnej wrażliwości. Doskonale знаła świat opery, występowała w Polsce i za granicą. Była wielką artystką i jednocześnie niezwykle skromną osobą. Studia na Akademii Muzycznej w Łodzi były spełnieniem moich najskrytszych marzeń. Dostałam się z drugą lokatą na kierunek wokalny-aktorski do klasy pani profesor. Miałam 25 lat i upragnione studia muzyczne stawały się rzeczywistością.

Co profesor Rorbach powiedziała o pani głosie?

Bardzo ją zainteresował. Miałam z natury niski głos o ciemnej barwie. Początkowo śpiewałam repertuar dla altu, na przykład arię Ślepej, matki tytułowej bohaterki opery „Gioconda” Ponchiello. Okazało się, że potrafię oddziaływać głosem na ludzi i ich wzruszać. Koledzy na studiach i niektórzy wykładowcy zaczęli mnie porównywać do takich śpiewaczek, jak Ewa Podleś czy Jadwiga Rappé, co było dla mnie ogromnym wyróżnieniem. Na czwartym roku rozpoczęliśmy przygotowania do premiery studenckiej. Tym razem była

Olga Maroszek jako
Amneris w „Aidzie”



Teatr młodych, teatr jutra

Festiwal Szkół Teatralnych to coroczne wydarzenie prezentujące najnowsze spektakle studentów aktorstwa z całej Polski.

W ciągu kilku dni publiczność miała okazję zobaczyć różnorodne interpretacje teatralne, niosące świeże spojrzenie na scenę i jej możliwości. Festiwal od lat uchodzi za drogowskaz – wskazuje kierunek, w którym zmierza młody teatr.

Maria Sławińska

Prezentowane spektakle to w większości dyplomy aktorskie, będące oficjalną przepustką do świata profesjonalnych twórców teatralnych i filmowych. Na scenie oglądamy więc artystów stojących u progu kariery, z których wielu już wkrótce może stać się gwiazdami scen polskich. Wydarzenie to jest doskonałą okazją do obserwacji nowych trendów – czasem zaskakujących nowatorstwem, a czasem będących powrotem do tradycji. A jaka była ta edycja? Mało klasyki, dużo zabawy formą.

Program festiwalu obejmował kilkanaście spektakli przygotowanych przez studentów: Akademii Teatralnej w Warszawie oraz jej filii w Białymstoku, Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie oraz jej filii w Bytomiu i we Wrocławiu. Jeśli pokusić się o ocenę, to właśnie wrocławski zespół zaprezentował się najdojrzałej, oferując w każdym swoim pokazie intrygujące doświadczenie oraz dopracowane kreacje aktorskie. W dyplomie bowiem aktor powinien być w centrum procesu twórczego – to jego „pięć minut” na pokazanie się potencjalnym pracodawcom i ludziom kultury.

Prezentacje oceniało zróżnicowane pod względem doświadczenia jury: Piotr Kruszczyński, Roma Gąsiorowska, Adrian Panek, Kalina Zalewska oraz Eliza Kujan. Swoje nagrody przyznawali również przedstawiciele Związku Artystów Scen Polskich. Organizatorzy zadbali także o część edukacyjną – panele dyskusyjne i warsztaty umożliwiały wymianę doświadczeń i pogłębienie wiedzy uczestników.



Zdjęcia: archiwum
Szkoły Filmowej w Łodzi /
Mikołaj Zacharow

Zespół Akademii
Teatralnej w Warszawie
odbiera Grand Prix
za spektakl „Mewa”

Wśród spektakli dominowały autorskie adaptacje współczesnych tekstów. Klasyka pojawiała się raczej jako inspiracja, a nie wierna realizacja. Przykładem może być jedno z przedstawień, w którym opowieść Szekspira została zrealizowana w onirycznym klimacie, z bambusowym lasem i egzotycznym bębniarstwem. Wrocławski spektakl „Midsummer Night’s Dream / Sen nocy letniej” w reżyserii Pawła Miśkiewicza został wzbogacony etiudą, która bezpośrednio nawiązywała do współczesnego życia teatralnego – przedstawiała próbę prowadzoną przez reżyserkę Monikę Strzępkę. Ten fragment spotkał się z entuzjastyczną reakcją widzów, którzy rozpoznali w nim celnie uchwyconą parodię środowiska. Studenci z bytomskiej filii AST zaprezentowali „Bachantki”, a zespół z Akademii Teatralnej w Warszawie – „Mewę”, która zdobyła nagrodę dla najlepszego spektaklu.

Po obejrzeniu wielu dyplomów można stwierdzić, że młode pokolenie wchodzące do świata teatru i filmu cechuje się otwartością na eksperymenty reżyzerskie i dramatopisarskie. Studenci z zaangażowaniem uczestniczyli w nawet najbardziej oryginalnych projektach. Większość spektakli oparta była na tekstach młodych twórców, jak chociażby „Dziewczyno, takie konfundujące” (Białystok), zrealizowany na podstawie tekstu Jowity Mazurkiewicz w reżyserii Weroniki Szczawińskiej. W przedstawieniu „Ojciec” (Warszawa) uwagę zwróciła współpraca studentów z reżyserką Agatą Dudą-Gracz. Spektakl inspirowany opowiadaniem „Świątokradztwo” autorstwa Oskara Jana Tauschinskiego w pełni odzwierciedlał charakterystyczny styl reżyserki, wymagający

Powiernice z ceramiki

W Muzeum Lalki przy ulicy Przędzalnianej 51 na Księżym Młynie w Łodzi ponad tysiąc sto par oczu przygląda się zwiedzającym. Jedynie Bobek nie patrzy. Jest tak brzydki (choć sympatyczny), że właścicielka trzyma go w pracowni, gdzie lalka może przytulać się do maszyny krawieckiej. To prywatne muzeum powstało przypadkiem, a eksponaty trafiają do niego szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Bogumił Makowski

Julita Pierzchała przed kilku laty musiała zmienić lokal, w którym projektowała, szyła i sprzedawała maskotki-przytulanki. Tam też prowadziła warsztaty dla szkolnej młodzieży. Zaproponowano jej dwa razy większą powierzchnię w zrewitalizowanym budynku na Księżym Młynie. Trzy pomieszczenia szybko zagospodarowała, ale na czwarte nie miała pomysłu. Któregoś dnia pracownię odwiedziła nieznana właścicielce kobieta. Zaczęły rozmawiać o wolnym pomieszczeniu. – I ta pani zaproponowała, aby urządzić w nim muzeum. Byłam zdziwiona i przerażona nierealnością pomysłu. Nie miałam żadnych lalek, mało tego, nie miałam o lalkach bladego pojęcia – wspomina Julita Pierzchała.

Nieznajomą okazała się być Elżbieta Hibner, prezeska stowarzyszenia Tylko Księży Młyn, a w latach 1990–1996 wiceprezydent Łodzi. Panie ogłosiły na swoich „socialach”, że potrzebne są lalki do muzeum. Skala odzewu była zaskakująca. Po kilku miesiącach miały już dwieście lalek. Można było otwierać muzeum. Na inaugurację w 2022 roku przyszło mnóstwo ludzi. Nowe muzeum odwiedziły też z opiekunką dziewczynki w wieku szkolnym,

które przyniosły ze sobą małe laleczki. Pani Julita pomyślała, że zainscenizuje z nich szkolną klasę. Laleczki siedzą więc w ławkach, jest i nauczycielka. Wszystkie stylizowane na Anię z Zielonego Wzgórza.

– Nadal obce osoby przekazują w moje ręce swoje skarby. Wiążą się z nimi emocje, często oddają mi jedyną lalkę, jaką mieli, mówiąc: „Proszę, niech się pani nią zaopiekuje”. I wspominają, a są to sprawy tak osobiste i intymne, że przez jakiś czas trudno mi o nich mówić – opowiada właścicielka muzeum.

Damski głos w słuchawce (pani dzwoni z Gdańska) mówi, że ma lalkę po mamie, starą już, zniszczoną i nie ma co z nią zrobić. Nie wiadomo, czym ta lalka była dla mamy tej pani, jakich zdarzeń była świadkiem. – Może była dla niej ważna i teraz ja będę w jakiś sposób depozytariuszką pamięci i wspomnień o właścicielce...

Inna pani z Katowic usłyszała od swojej mieszkającej w Danii córki, że w Łodzi jest takie muzeum, i pyta, czy może oddać tutaj swoje lalki. Kolejna z Holandii przywiozła pudło lalek należących do jej zmarłej teściowej – przed śmiercią kobieta wyraziła wolę, aby jej kolekcja trafiła do muzeum.



Zdjęcia: Piotr Zdrzyński

W Muzeum Lalek na Księżym Młynie

Pewnego zimowego popołudnia przyszła kobieta w długim płaszczu, otulona szalem. Krążyła po muzeum, zaglądając w twarze lalek. – Gdy się rozgrzała, podeszła do mnie i rozchyliła płaszcz, wyjmując spod niego dwie lalki. Powiedziała do nich: ty tutaj zostaniesz, a ty jeszcze nie. Dała mi jedną lalkę, drugą schowała, otuliła się szalem i wyszła – wspomina Julita Pierzchała.

Lalka z potłuczoną główką jest prawdopodobnie najstarsza w muzealnej kolekcji. Na podstawie sygnatury wiadomo, że wyprodukowano ją we Francji i ma między 130 a 150 lat. Lalkę kupiła polska rodzina i przekazywała ją z pokolenia na pokolenie. Kobieta, która miała otrzymać ją od swojej matki, przedwcześnie zmarła. Lalkę wraz z taką legendą przekazano zatem do muzeum. – Postanowiłam zostawić ją w takim stanie, w jakim ją otrzymałam, bo to jest część historii tej lalki. Mam jej stroje, koszulki, sukienki – opowiada depozytariuszka wspomnień.

Oznaczenia umieszczane na lalkach pozwalają określić, gdzie i kiedy zostały wyprodukowane, choć dziś nie wszyscy producenci stosują sygnatury. Najbardziej znaną współczesną oznakowaną lalką jest Barbie. Jej producent umieszcza sygnatury w miejscu, gdzie kończą się plecy. Kolekcja Barbie zgromadzonych przy Przędzalnianej 51 liczy 150 sztuk. Na sześćsetlecie Łodzi i w 150. rocznicę powstania Księżego Młyna Julia Pierzchała ubrała je w odzież z jeansu. – Zastosowałam ten materiał, ponieważ wówczas przypadała także 150. rocznica opatentowania spodni jeansowych.



Julia Grygorczyk
Bez tytułu,
cykl „Spotkania”,
2024, olej i akryl

→ Julia Grygorczyk
Bez tytułu,
cykl „Spotkania”,
2024, olej i akryl

Julia Grygorczyk
Bez tytułu,
cykl „Spotkania”,
2024, olej i akryl

